Nr. 45. Warszawa, dnia 25 Października (6) Listopada 1872 roku. **ROK VIII.**

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi:

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi, przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

W KWESTYI PRACY.

O pracy pisze się i pisano bardzo dużo, obrabiano ten przedmiot ze wszystkich stron i z rozmaitych punktów widzenia i wykazano dowodnie, że jestto przedmiot niezmiernie ważny, najważniejszy ze wszystkich, jakie umysł człowieka zajmują. Dziś już nie poprzestają ludzie na sentymentalnych owych orzeczeniach, które niegdyś miały kurs monety zdawkowej, że „praca podnosi, uzacnia, uszlachetnia”, etc.; lecz postawiono ją na porządku dziennym, jako kwestyją do rozwiązania i nie masz człowieka, któryby się nią nie zajmował. Jedni rozwiązaniu jej poświęcają się wyłącznie: cały ruch ekonomiczny, gromadzący tych co piszą (ci w mniejszej są liczbie) i tych co praktykują (ci stają milionami całemi), ma na celu głównie rozwiązanie teoretyczne i praktyczne kwestyi pracy. Drudzy czem innem roztargnieni, oczekują na rezultat ostateczny, a oczekują w niepokoju, w gorączce, uskarżając się na niepewność jutra, jakowąś duszność w atmosferze. Nie masz wprawdzie reguły bez wyjątków i nie można powiedzieć, że niema takich, których ta kwestyja nie zajmuje wcale. Ci atoli nie liczą się. Są to wartości bierne. Tych przeto z rachunku wypuścić można; a po za nimi wszyscy, do jakiegokolwiekby obozu należeli, jakiejkolwiek doktryny religijnej filozoficznej, politycznej, społecznej są wyznawcami, z natężeniem i niepokojem wielkim oczekują na rezultat roztrzygnięcia ostatecznego kwestyi pracy:—tak że wiek nasz, moment dziejowy, który obecnie ludność przebywa, uważać można, jako nacechowany tem zadaniem, danem ludzkości do rozwiązania w pierwszych chwilach uspołecznienia i nie rozwiązanem jeszcze po dziś dzień.

Dziś—zdaje się—przyszła na nie pora. Spoczywało, w stanie poczwarki, przez wieków setki, pozostawało pod skorupą protekcyi i tolerancyi społecznej i nareszcie, wykluło się, chce żyć, chce istnieć.

Gdzie to kiedy zadaniem tem się zajmowano!... W kwestyi wieków minionych nigdzie śladu najmniejszego, ażeby praca traktowaną była inaczej, aniżeli jako przedmiot odnoszący się do porządku wewnętrznego. Opatrywano ją przepisami policyjnemi; okładano ją podatkami; czyniono jej zresztą ten zaszczyt, że na nią wyłącznie cały ciężar fiskalny zwalono; traktowano ją jednak z góry przez ramie, powiadano, że „podnosi, uzacnia, uszlachetnia” i usuwano ją z drogi, ażeby nie zawadzała panom herbowym, co ją całą potęgą majestatycznej pogardy okrywali. „Urodzony” a „pracowity”—cóż to za odległość odsuwała jednego od drugiego! Pierwszy drugiego zaledwie dojrzeć mógł, gdzieś tam, na spodach mrowiska społecznego, raczył po nim deptać i miał to za wielką ze strony swojej łaskawość.

Dziś już trochę inaczej. Kwestyja inną przybrała postać.

Niewolnictwo było kwestyją analogiczną, której rozwiązanie, w ośmnaście po wytoczeniu jej wieków, za naszych dopiero dokonane czasów, uważać należy, jako wstęp, jako preludium, do wielkiego zadania pracy. Wyzwolono niewolników z dyb poddańczyco porządku dawnego i wyzwolonych oddano na pastwę temuż samemu porządkowi, niech zmodyfikowanemu. Modyfikacyja odnosi się do strony formalnej. Zniesienie niewolnictwa to sprawiło, że dawniejszych panów i dziedziców zmieniło w przemysłowców—zrobiło z herbu anachronizm, a na miejsce jego wywiesiło firmę. Dawniejszy pan i dziedzic musiał poddanych żywić, jeśli chciał mieć z nich robotników; dzisiejszy przemysłowiec czynić musi to samo, z tą różnicą, że żywi nie poddanych lecz ludzi wolnych, zawierających z nim układ „dobrowolny”, w warunkach atoli dla nich twardszych, aniżeli te w jakich ich poddaństwo stawiało. Pan musiał poddanego żywić, jest robota czy nie ma, jak psa myśliwego, któremu się osypka daje, jest polowanie czy nie ma. Przemysłowiec, w formie układu, stawia robotnikowi ultimatum, którego, jeśliby nie przyjął, z głodu umrze. Możeż nie przyjąć? Istniejesz przeto dla niego dobrowolność? Nie stajeż się on faktycznie poddanym? Nie stawiaż on, przez to samo, pracy w tem samem poniżeniu, w jakiem była za dobrych czasów owych, w których odsyłano ją po wynagrodzenie... do nieba?.. Zniesienie przeto niewolnictwa nie rozwiązało zadania pracy, ale je—niejako—na wierzch wysadziło. Z jednej strony wolność, zapładniając pracę moralnie i intellektualnie, potęgę jej w dziesięćnasób podniosła; z drugiej strony przemysłowość, wyścigająca się sama ze sobą na drodze społeczeństwa, zanadto jej nadużyła. Wynalazki, maszyny, przyrost ludności, rozwój potrzeb, zdrożenie życia, napływ pojęć, wszystko to i wiele innych jesz-

---

ŚLADY ŻYCIA.

XXX.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Z czytelnikami Opiekuna dobrą dziś podzielić się możemy wiadomością. W kraju naszym zawiązuje się Towarzystwo akcyjne „Aryjadna” z kapitałem zakładowym rubli sr. 2,000,000 w celu założenia na bardzo obszerną skalę fabryki wyrobów lnianych. Jakkolwiek miejscowość na pomieszczenie zakładów fabrycznych nie jest jeszcze obraną—zawsze jednak będzie podobno niedaleko od Warszawy. Twórcą projektu i zarazem twórcą wszystkich do urządzenia przedsiebierstwa planów jest p. *Władysław Grabowski*, i na jego tylko żądanie wstrzymywaliśmy się aż dotąd z podaniem wiadomości o fakcie świadczącym, że przemysł nasz poczyna nareszcie budzić się z uśpienia — a wszelkie podobne objawy we wszystkich ludziach dobrej woli—gorące muszą budzić współczucie—boć od rozwoju rzemiosł, handlu i przemysłu, bogactwo nasze zawisło. Ten tylko kto wie jak z powodu braku zmysłu handlowego wszystko u nas wszystkim nie podobnem się wydaje — ten tylko mówimy, potrafi ocenić jak wielkie panu Grabowskiemu za stworzenie i urzeczywistnienie projektu należy się uznanie. Owoc to czteroletniéj jego pracy, pracy ciężkiéj, mozolnéj, z zaparciem się siebie, z poświęceniem najdroższych interesów podejmowanéj. Ważną zasługą pana Grabowskiego jest jeszcze i to, że do zapisania całego funduszu akcyjnego, przeważnie krajowe skłonił kapitały.

W fabryce wyrobów lnianych o jakiéj mówimy, co najmniéj 1,500 robotników mężczyzn, kobiet i dzieci znaleść ma zatrudnienie — a p. Grabowski pragnie jeszcze by robotnicy mieli udział w zyskach (tantjema), by z części zysków tych założyć szkołę—utrzymywać pomoc lekarską i t. p.

Oddając słuszną cześć pracy i silnéj woli p. Grabowskiego — nie możemy nie wspomnieć że do urzeczywistnienia projektu—dopomogło mu gorące poparcie księcia Tadeusza Lubomirskiego, hr. Józefa Zamoyskiego i jednego ze znaczniejszych uprawiaczy lnu w Cesarstwie Rosyjskiem hr. Mikołaja Rostowcowa. Co samo już z siebie wynika— p. Grabowski jako twórca projektu fabryki lnianéj — na samą hodowlę lnu u nas — nie mógł też bacznéj nie zwrócić uwagi. Wiadomo zaś że lny uprawiane w powiatach Kalwaryjskim, Maryjampolskim, Wiłkowyżskim, Władysławowskim, jak również lny Łomżyńskie, Podlaskie, Płockie i Siedleckie—są tak dobre—iż byleby włókna tylko starannie przygotowane były, lny te w niczem nie ustąpią najcenniejszym gatunkum lnów Rygskich lub Pskowskich. Otóż pan Grabowski przygotował już obszerny i z gruntowną znajomością rzeczy opracowany projekt, tak co do podniesienia uprawy lnów krajowych, jakoteż co do zastąpienia dotychczasowych sposobów moczenia i roszenia, oraz przysposabiania włókna. Zdaniem p. G. moczenie i roszenie odbywać się może i powinno za pomocą pary — przysposabianie zaś włókna, to jest mędlenie i czesanie za pomocą odpowiednich przyrządów mechanicznych uskuteczniać należy. Fabrykę do przysposabiania włókna zamyśla p. G. urządzić w gubernii Suwalskiéj i w tym

cze przyczyn, razem wziętych, sformułowało zadanie, wyprowadziło kwestyją pracy i postawiło ją w nieprzyjaznym do kapitału stosunku.

Cóż to jest praca?—jest to kapitał. Cóż to jest kapitał? jest to praca.

Praca, wydobywszy się z więzów niewoli materyjalnej i z pieluch opieki moralnéj i stanąwszy jako zadanie do rozwiązania, stanęła w nieprzyjaznym do kapitału stosunku. Są to dwa wrogi, nie mogący się obejść jeden bez drugiego, związani ze sobą niby bracia Siamscy i nastawiający się jeden do drugiego z iskrami gniewu wściekłego w oczach, ze słowami nienawiści na ustach, z zaciśniętemi pięściami.

Anormalność stosunku tego w oczy bije i razi.

A skąd ona pochodzi?

Na zapytanie to chciałbym zwrócić uwagę czytelników w ogólności, w szczególności jednak tych, co mają dzieci do wychowania, młode pokolenie do kształcenia. Zadanie stawia się coraz to natrętniej; lecz my zejdziem zapewne z tego świata, nim ono rozwiązanem zostanie i cały ciężar spadnie na tych, co po nas nastąpią. Wypadałoby więc może, ulżyć im nieco. Po nas, jak się zdaje, potop jeszcze nie przyjdzie.

Anormalność stosunku, zachodzącego pomiędzy kapitałem a pracą pochodzi stąd, że mylne mamy pojęcie o celu pracy—celu, wysnuwającym się z jej znaczenia. Odnosi się on do ogółu, do społeczeństwa całego: my zaś bierzemy go w odniesieniu do indywiduum, do osoby pojedynczej. „Pracuj—pracuj—wpajamy w młody umysł dziecka—zabezpieczysz sobie byt niepodległy, możesz zostać bogatym—możesz zostać próżniakiem". I karmimy wyobraźnię jego przykładami. „Ten nie miał nic, ów nie miał nic, ów za majątek cały posiadał pięć złotych w kieszeni—a dziś?.. milijony!... Rothszyldów dziadek był to sobie żydek ubogi, a wnuk na wieść o mającej się zaciągnąć przez rząd pana Thiersa pożyczce, sprowadził do Paryża milijon franków brzęczącą monetą. Pracuj, nie zrażaj się trudnością początków, oszczędzaj, grosz do grosza składaj, uskładaj sobie kapitał, który już sam rość i mnożyć się będzie". Rodzice przyuczają w ten sposób dzieci; przemysłowce przemawiają w ten sposób do pracujących na ich polach i w ich fabrykach robotników—wydzielając indywiduum z ogółu i nadając mu impuls wprowadzający je na drogę wyzyskiwania wszystkich i wszystkiego na korzyść własną, osobistą, dając mu pracę za narzędzie i ukazując mu jako cel... próżniactwo.

W tem tkwi całe złe.

Odnosząc pracę do indywiduum, jakkolwiekbyśmy ją zalecali, jakiemikolwiekbyśmy ją moralnemi zastrzeżeniami i przepisami otaczali, jakkolwiekbyśmy nad pierwocinami jej troskliwie czuwali, zawsze próżniactwo jako cel jej ostatecznie staje. I nie można na cel ten ręki podnosić—czemu? „Bo to owoc pracy"!....—wołają:

Próżniactwo?.. owoc pracy?..

Bogactwo krąży, jako krew, w organiźnie społecznem; w krążeniu swojem napotyka na bańkę i pod nią się kupi. Wyobraźmy sobie człowieka z bańkami, dajmy na to, na plecach, którychby mu nigdy nie odejmowano. Co by się z organizmem jego stało? W plecach rozwinęłoby się ogromne krwi bogactwo, ale za to—ręce, nogi, zmartwiećby musiały, w głowie zapanowałby szum wieczysty, żołądek nie byłby w stanie funkcyjonować należycie, słowem, w ciele całem, nastąpiłaby dezorganizacyja ogólna, któréj fizyjolog żaden za stan normalny przyznać by się nie ośmielił, a lekarz każdy kazałby przedewszystkiem bańki precz odrzucić.

Osiągnięty cel pracy—próżniactwo—skutek bańki wyżej opisanej na organiźmie społecznym wywiera. Nie może on być osiągniętym bez skupienia kapitałów w rękach osobistości pojedynczych, bez skupienia się bogactw w skrzyniach, przeznaczonych wyłącznie na zbieranie owoców pracy. Wyradza to, w następstwach bezpośrednich, stan w wysokim stopniu chorobliwy, wymagający, dla utrzymania społeczeństwa jako tako na nogach, sposobów sztucznych, ciągłych plastrów i okładów, tuszów i bandażów, odsetptywań i kadzeń a niekiedy środków heroicznych, ogłuszających na moment, ale bynajmniej złemu nie zaradzających.

Wypadałoby więc może, zmienić pojęcie o celu pracy, a przynajmniej zmodyfikować je nieco, za pomocą zwrócenia szczególnej uwagi na próżniactwo i wykazania owego następstwa w odniesieniu do stosunków społecznych. Nazywają je wprawdzie, nie od dziś, plagą. Przyozdabiają proźniaków w niekoniecznie dla nich pochlebne epitety: pasożytów i pijawek. Mimo to, pladze hołdy się oddają; przed pasożytami i pijawkami czołem biją; próżniactwo zaś rodzice dzieciom, nauczyciele uczniom za cel pracy wytykają. Dowodzi to, że złe skutki widzą wszyscy, lecz mało kto zadaje sobie trudu w przyczyny wniknąć i najczęściej czepiają się próżniaków najmniej szkodliwych—zazwyczaj marnotrawnych synów, pod tymwzględem przynajmniej pożytecznych, że przywracają poniekąd równowagę w krążeniu soków społecznych. Gdyby nie oni, ludzkość cała siedziałaby od dawien dawna w kieszeni bankiera, manipulującego procentami od kapitału w wysokości grosza jednego, pozostawionego mu w spadku przez przodka, żyjącego za czasów Chrystusa. Lecz na tem właśnie zależy chorobliwość stanu społecznego, że w złem na złe środki zaradcze się znajdują. Trucizna wprawdzie truciznę neutralizuje—nie wiele wszakże wart już organizm ten, przez który się dużo przefiltrowało trucizny. Szkodliwość próżniactwa wyżej sięga, obejmując nie tylko akumulatorów i akaparatorów, ale oraz i wszystkich, pełniących funkcyje i odgrywających role nieużyteczne. Próżniactwo, tak czy owak przezwane, tak czy owak odziane, jest zawsze próżniactwem i jest zawsze szkodliwem, przez to samo, że im wyżej stoi, im poważniej wygląda i im jaśniej świeci, tem silniej oddziaływa, olśniewa, tłumy ku sobie pociąga i na wzór się pozuje.

Owoż, co mianowicie do wystrzegania się jest, to wzory—wzory bogactwa, wzory karyery świetnej—stawiane jako wynagrodzenie pracy i zrywające oczy ogółu. Pomiędzy wzorami temi należałoby przebierać i bardzo. Nie wszystkie się nadają. Racyi bytu, większej części nie usprawiedliwiają potrzeby społeczne. Istnieją dla siebie samych, na rachunek społeczeństwa, którego sokami się żywią, jak wśród życia są sokami ciała, reprezentując próżniactwo w całym blasku tryumfu jego nad pracą. Złe to są wzory przeto, bardzo złe!

Zastrzegam się jak najmocniej przeciwko temu, ażeby, broń Boże! nie wziął mnie kto za moralizatora i nie pomyślał, że występuję przeciwko chciwości, samolubstwu, próżności i tym podobnym ornamentom duszy ludzkiej. Bynajmniej! Pozostawiam to wszystko na stronie, w tem przeświadczeniu, że jeżeli żaden złotousty zaradzić temu nie był w stanie, celu porozumiewa się z kilku tamecznymi właścicielami ziemskiemi.

* * *

Drugi odczyt p. Faleńskiego mniéj jeszcze niż pierwszy zgromadził słuchaczów. Poprzednie niepowodzenie tłomaczono sobie słabem reklamowaniem ze strony pism perjodycznych — ale drugie, jak wytłomaczymy?... Jest to pytanie, na które odpowiedziawszy potępiająco (naturalnie na niekorzyść publiczności), najłatwiéj rzeczbyśmy zbyli. Być może jednak, że niezupełnie winna publiczność—może sama natura odczytu, który zbyt odległe i niebardzo interesujące ogół czasy przedstawiał. Ale dajmy lepiéj pokój przypuszczeniom i oskarżeniom. P. F. mówił o charakterze poezyj lirycznych kochanka i śpiewaka Laury, o jego stanowisku w literaturze powszechnéj. Między innemi zauważył, że Petrarka zajmuje miejsce oddzielne, odosobnione, że inni poeci miłości albo go prześcignęli albo mu nie dorównali. Największéj podobieństwa upatrywał pomiędzy sonetami Petrarki a poematem Julijusza Słowackiego „W Szwajcaryi." Następnie prelegent wspomniał o tłomaczu Petrarkowych utworów *Grotkowskim* (z XVI wieku), w którego tłomaczeniu jeden nawet sonet przytoczył. Sam p. Faleński pracował nad przekładem włoskiego poety długo, pracowicie i starannie; próbki swéj pracy (bardzo zresztą szczupłe) odczytał na prelekcyi, dla lepszéj charakterystyki utworów poety. Niektóre (jak np. *sestiny*), zadziwiały kunsztownością formy obok nader bladéj i zużytéj treści. Chcąc uwydatnić jakiemś porównaniem charakter poezyi rozbieranego śpiewaka zestawił utwory rzeźbiarskie Benvenuto Celliniego: takie w tych poezyjach wykończenie, taka dokładność i staranność. Spodziewamy się, że praca p. Faleńskiego w druku o wiele więcéj zyska niż w odczycie; tu bowiem czytelnicy będą mogli lepiéj się przypatrzeć jéj szczegółom i lepiéj je zapamiętać.

* * *

Czytelnicy nasi przypominają sobie artykuł wstępny p. t.: *Letnie Wycieczki*, pomieszczony w Nr. 38 Opiekuna. Mówiliśmy w nim o potrzebie zachęcenia młodzieży gimnazyjalnéj i uniwersyteckiéj do odbywania naukowych wycieczek po kraju, który niestety tak mało jest nam znany. Wycieczki takie oprócz celów pedagogicznych o których wspomnieliśmy w owym artykule mogłyby nieraz i do praktycznych doprowadzić rezultatów, odkrywając nowe źródła krajowego bogactwa. Myśl ta pozostała bez echa. W ostatnim dopiero numerze „*Przyrody* i *Przemysłu*" wyczytaliśmy rozwinięcie téj myśli w artykule wstępnym p. t. *Wycieczki* i *odczyty*. Jakkolwiek pismo to nie wspomina o naszym artykule, chętnie jednakże pomieszczamy tu jego uwagi, a to celem jak najszerszego rozpowszechnienia wyrażonéj w nim myśli i pobudzenia tych, których to obchodzić może do zamienienia jéj w rzeczywistość. *Przyroda* i *Przemysł* wspominając o *stowarzyszeniach podróżnych* istniejących w Niemczech i w Anglii, proponuje zawiązanie u nas podobnych kółek. Młodzież warszawska i większych miast prowincyjonalnych mogłaby, za małą opłatą zbierać się w większe kółka i pod przewodnictwem jednego lub kilku naturalistów i archeologów odbywać po kraju wycieczki. W porze zaś zimowéj owi przewodnicy powinniby urządzać odczyty, mające na celu, już to przygotowanie naukowe młodych ludzi, mających odbyć wycieczkę, już też objaśnienie ogółu, co do jéj naukowego rezultatu. Sądzimy, że inne pisma myśl tę podniosą i rozpowszechnią.

* *

Kuryjer Codzienny od pewnego czasu stale podaje sprawozdania literackie w dziale zatytułowanym: „*Piśmiennictwo.*" Zaznaczamy ten fakt z przyjemnością. Wspominaliśmy już nieraz jak dalece zaniedbywano u n y

o już ja z pewnością zaradziłbym nie zdołał. Ani się więc na to porywam! Jeżeli powstaję to przeciwko wpajanemu w młode pokolenia mylnemu pojęciu celu pracy, szkodliwemu zarówno tym, co go osiągają, jako też tym, co dążąc, na połowie drogi pod ciężarem upadają. Celem tym nie jest próżniactwo—nie jest zatem i to co je sprowadza i zabezpiecza—nie jest gromadzenie potęgi jakiejkolwiek, czy to pod postacią kapitałów, czy inaczej, w jednem ręku. Społeczność ludzką przyrównać można do maszyny skomplikowanej, w której każde kółko i kółeczko, każdy tryb i trybik, każda śrubka i klamerka potrzebne są i pełnią funkcyje odpowiednie w utrzymaniu jej w ruchu ustawicznym. Człowiek każdy posiada funkcyję odpowiednią. Jeżeli więc próżnuje, jest zawadą, przeszkodą, wstrętem, dla tego potrzeba nieraz mechanizm cały zmieniać, narażając przez to częstokroć społeczeństwo całe i jegoż samego na następstwa najsmutniejsze. Celem zatem pracy jest funkcyjonowanie ciągłe na odpowiedniem stanowisku, zapewniającem osobistości pojedynczej pracę, niosącą korzyść, tak jej, jak ogółowi. Praca jest kapitałem—tak! Kapitał rentować się powinien—prawda! niechże jednak renta nie będzie lichwą, idącą na korzyć wyłączną próżniactwa. Dobrobyt dostatecznem jest wynagrodzeniem pracy najcięższej i po nad dobrobyt ambicyja nieżyje, chociażby najlżejsza, wznosić się nie powinna.

Kwestyja pracy nie przez nas, zapewne i nie za naszego życia rozwiązaną zostanie. Zanim to nastąpi, dużo może jeszcze wody upłynie. Nie zaszkodzi jednak przyspasabiać się do niej zawczasu, urabiając sobie właściwe o celu pracy pojęcie. Jest to przytem przedmiot wielce ciekawy, nadzwyczajnie zajmujący i cale nowy, a przystępny, jak pojęcie o sprawiedliwości, z którem pozostaje w styczności bezpośredniéj. Jam go nie wyczerpał; zaledwiem się po nim po wierzchu prześliznął, a to, nie wcelu pouczenia kogobądź, lecz tylko dla zwrócenia nań uwagi ojców i matek, nauczycieli i nauczycielek, którzy dzieciom i wychowankom swoim nieba—jak to się mówi—przychylićby chcieli. Mają dla nich niebo gotowe—w pracy, pojętej jako społeczeński, jako obywatelski obowiązek, niebo, raj, w zadowolnieniu, jakie daje dopełnienie tego obowiązku. *T. T. Jeż.*

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

I pan Marceli, wsypując zmieloną kawę do wody, spojrzał się bystro na syna.

— Dobrze, mój ojcze—opowiem ci wszystko; wczoraj właśnie zdałem szczęśliwie ostatni egzamin, i dostałem patent — gdyby nie zmordowanie, i zachwiane trochę siły, natychmiast bym się postarał o posadę profesora, lecz doktór nakazał mi długi wypoczynek, więc cały rok jeszcze muszę czekać.

— A więc już ukończyłeś nauki zupełnie? przeszedłeś wszystkie kursa? pytał ze zdziwieniem ojciec.

— Tak ojcze! wszystkie! —odparł z dumą.

— Wiele masz lat? bo ja już nie pomnę..

— Dwadzieścia dwa!

— I grywasz na fortepijanie zawsze?

— Więcej niż kiedykolwiek!

— Hm!—a języki jakie posiadasz?

— Francuski, niemiecki, rosyjski, łaciński, grecki, angielskiego douczam się jeszcze — rzekł Emanuel.

— To za wiele! za wiele!— skrzywił się ojciec—no! i z tem myślisz zostać profesorem, zasychać jak sztokfisz w jakiem mieście—i ty o tem myślisz naprawdę?

— Naturalnie!

— To masz mniej oleju w głowie niż tysiące tych, co po łacinie i po grecku nie umieją! —mruknął pan Marceli, stawiając gotującą się kawę, i parząc ją uważnie wodą.

— Cóż mogę postanowić innego mój ojcze? spytał zdziwiony Emanuel.

Potomek książąt długo nie dawał odpowiedzi—wytarł starannie dwie olbrzymie szklanki i srebrne łyżeczki, i poruszając wargami nalewał aromatyczną kawę i dobrą śmietankę;—potem podawszy synowi jednę, sam napił się z drugiéj pośpiesznie, — lecz oparzył się gorącym napojem, i wtedy dopiero, aby skrócić czas do przestygnięcia potrzebny, zaczął mówić:

— Młody książę Emanuel Wiśniowicki, będąc co się zowie ładnym chłopcem, mając wszystkie mądrości świata w głowie, oczki jak turkusy, usta jak maliny — posiadając piękne talenta, ułożenie—powinien plunąć do djabła na bakalarstwo wszelkie, jechać do familii, a ręczę, że wszystkie kuzynki poszalałyby za tobą, że byłoby ci jak w raju—i wreszcie ożeniliby cię świetnie. Na wyekwipowanie dam ci dziesięć tysięcy, trzecią część mego kapitału, którą, ręczę ci, że w przeciągu roku zwrócisz mi z procentem!

Emanuel oblał się rumieńcem oburzenia.

— Nigdy!—zawołał.—Mój ojcze! za żadne skarby świata nie zniżyłbym się do téj hańby. Dzięki mozolnéj pracy, nie potrzebuję niczyjéj łaski i pomocy; —co do ożenienia — wiesz ojcze oddawna, że jestem narzeczonym!

— Znowu ta stolarka! a to utrapienie! rzekł wzdychając pan Marceli, i popił kawą.

— Ojcze!—zerwał się Emanuel.

— Wylejesz kawę, a wyborna! aromat niezrównany, śmietanka jak wiejska—delektował się pan Wiśniowiecki, z rozkoszą pijąc i zajadając bułeczkę.

— Mój ojcze, nie ubliżaj Beacie! sam czujesz, ile na cześć i szacunek zasługuje! wyrzekł już prawie spokojnie syn — ale twarz jego płonęła.

— Gdyby miała mitrę, a choćby herb uczciwy, pięć kroć posagu, to uwielbiałbym ją—bo przeciw jéj urodzie i wykształceniu—ani słowa!—ale—dodał wychylając coraz prędzéj smaczną kawę — ale tak! trudni się stolarką, goła jak turecki święty i do tego bez nazwiska!—podrzutek, bez nazwiska!... zawołał płaczliwie pan Marceli i melancholijne wejrzenie utopił w próżnéj szklance, którą z westchnieniem postawił na stole.

— Dla mnie Beata jest droższą nad zaszczyty i bogactwa, nad świat cały! I jam ubogi—tak jak ona pracą własną zdobywam sobie chleb powszedni! Jednacyśmy chęciami i wykształceniem, jedno mamy dążenie, kochamy światło i prawdę, i siebie wzajemnie—będziemy szczęśliwi w ubogim domku profesora— a jeśli ona nie zna swego nazwiska, moje zastąpi go jéj całkowicie.

— Biéda! biéda!—westchnął żałośnie pan *Karmelek* i zjadł cukru kawałek.

— Co do mnie—mówił dalej—powiadam, że to głupstwo, i że licho nadało to sąsiedztwo przeklęte—ale—nie mam prawa ci bronić! żyjesz oddzielnie, od drugiéj klasy masz swoje utrzymanie—jesteś wolny!— odemnie, wiesz, że nic nie można się spodziewać!—Zresztą i ja pojmuję miłość lubo od miłości do żeniaczki to daleko jak stąd na księżyc. No! nie burz się! A czemu nie pijesz dotąd ka-

---

przez długi czas sprawę popierania każdego pocieszającego objawu literatury naszéj, i w ogóle kontrolowania ich naukowéj i społecznéj wartości. Pisma codzienne bez wielkiego uszczerbku dla innych działów, mogą ten brak wynagrodzić i przyznać należy, iż nawoływania w tym duchu mniéj są już dzisiaj potrzebne. Wracając do *Kuryjera Codziennego*, powtarzamy tu myśl podaną w 238 numerze tego pisma. Mając na uwadze smutne położenie wielu rodzin, lub pojedynczych nawet osób, które skutkiem nieszczęśliwego wypadku i w braku natychmiastowéj pomocy narażone są na publiczną licytacyją całego mienia, *Kuryjer Codzienny* proponuje założenie towarzystwa, któreby czuwało nad tego rodzaju wypadkami, niosąc w *formie pożyczki*, skuteczną pomoc potrzebującym. Myśl ze wszech miar godna poparcia.

Powinniśmy *raczej zapobiegać nędzy*, niż *podtrzymywać żebractwo*.

* * *

Zapowiedziane przed kilku miesiącami dzieło Quatrefage'a (Katrfaża)—*O Darwinie i jego poprzednikach*, wyszło w tych dniach z druku nakładem kięgarni Gebethnera i Wolfa. Przekładu dokonał Juljan Ochorowicz członek naszej redakcyi. Wstrzymujemy się od uwag krytycznych, winniśmy jednak dodać że dzieło to jest w piśmiennictwie naszem pierwszą obszerniejszą pracą o teoryi Darwina, a zarazem pierwszą gruntowną jej krytyką. Quatrefages bowiem jest przeciwnikiem słynnego angielskiego badacza. Tłomacz uzupełnił dzieło w tem sposób, że zamiast ośmiu poprzedników Darwina podanych u Quatrefages'a przedstawił streszczenie teoryi *czterdziestu jeden* autorów różnej narodowości, którzy wciągu przeszłego i bieżącego wieku rozwijali zbliżone do teoryi Darwina poglądy. Zwyjątkiem pierwszego rozdziału który nie może być uważany za dzieło Quatrefages'a, reszta jest dosłownem tłomaczeniem. Panom *Gebethnerowi i Wolfowi* należy się uznanie za podjęcie wydawnictwa, które powinno się przyczynić do rozpowszechnienia u nas przyrodniczej wiedzy i do usunięcia owych nienaukowych sporów, jakie często w powyższym przedmiocie u nas spotykać było można.

Cena dzieła wynosi rs. 1 kop. 20

* * *

Prospekt wydany przez Redakcyją *Przeglądu Tygodniowego*, zapowiada rozległe wydawnictwo popularne o którem dawniej już wspomnieliśmy. Pięćdziesiąt tomów za pięć rubli! Wydawnictwo ma być ukończone w ciągu przyszłego roku i obejmie dzieła filozoficzne, historyczne, pedagogiczne, ekonomiczne, przyrodnicze, podróże, szkice i t. d. Obok tego Redakcyja zamierza na *Nowy Rok 1874* wydać dla dzieci i młodzieży: *Kosmos* z rycinami. Wreszcie w skład wydawnictwa mają wejść broszurki popularne dla ludu. W prospekcie o którym wspominamy Redakcyja Przeglądu wylicza 42 dzieła które mają wejść w skład owych 50 tomów. Jeśli jednak tomy będą takiej wielkości jak te które obecnie Przegląd dołącza—a nie przypuszczamy żeby Redakcyja była w możności dawać większe, to ledwo połowa wymienionych dzieł będzie mogła znaleźć pomieszczenie. Przypuszczamy więc, że Redakcyja zamierza wydawnictwo, ciągnąć dłużej niż rok jeden. Poparcie ogółu powinno jej zadanie to ułatwić.

W końcu zwracamy uwagę czytelników naszych na pedagogiczne wydawnictwa Przeglądu—a mianowicie na zabawki Froeblowskie (cena rs. 6 z przesyłką 7 kop. 50).

* * *

P. Piotr Skrzypiński b. nauczyciel szkół rządowych ogłasza przedpłatę na dzieło p. t. „*Mównictwo Polskie*", obejmujące: rozbiór mowy, słoworodnią, składnią i pisownią ze 144-ema, zastosowaniami ustnemi i piśmiennemi.

wy?—ah! wystygła całkiem! nie wiesz co dobre!—dodał pogardliwie.

Emanuel machinalnie wziął się do jedzenia —potem spojrzał na zegarek, i powstał by pożegnać ojca.

— No! bywaj zdrów mój książe! jutro przyjdź do mnie na śniadanie—będzie bifsztyk z polędwicy, który Marcin paradnie robi! Idziesz do swej Belli — kłaniaj się jej, a nawet pocałuj odemnie. Zaczekajno — mój książe! coś miałem mówić!... ale—nie miałbyś mi pożyczyć kilka rubli?

Emanuel włożył w rękę ojca dziesięć rubli — lecz spojrzał z wyrzutem na smakującego Karmelka.

— Hm! dziękuję ci! Niewiele to wprawdzie —ale—niech tak będzie! Tylko nie rób takiej miny— wszyscy nasi przodkowie byli bardzo wspaniali i hojni tyś przecie ich syn z prostej linji!

Stary książe zaśmiał się dobrodusznie, a młody wyszedł, ruszając nieznacznie ramionami. Dziesięć rubli było owocem dziesięciu dni niemiłej pracy na lekcyjach muzyki zarobionym; a pan Marceli zazwyczaj je przejadał w jedną dobę.

Emanuel, przechodząc szybko niewielką przestrzeń, dzielącą go od mieszkania ukochanej, widocznie nie myślał o tem — twarz jego jaśniała wyrazem szczęścia i spokoju. Zaledwo stanął przededrzwiami, otworzono mu je, i Beata podała mu rękę na powitanie.

— Witaj mój jedyny! szepnęła radośnie.

— Spóźniłem się trochę — ale ojciec mnie zatrzymał; przysyła ci pozdrowienie—mówił Emanuel biorąc jej dłoń. Już wiesz, że wczoraj zdałem ostatni egzamin.

— Wiem! oh! jak ja się cieszę!...

— Coraz bliżej jesteśmy naszego szczęścia, Beato moja!....

— Ale ty się męczysz zbytecznie, Emanuelu—jesteś blady—o mój ukochany! oszczędzaj twoich sił młodych! —rzekła z uczuciem Beata—i wpatrzyła się w niego z zachwytem. Usiedli oboje; ona przy stole, on u jej stóp na małym stołeczku.

—Opowiem ci moje projekta!—ale to później—teraz mów mi o sobie! — rzeczywiście zmęczyła mię nauka; lecz za chwilę już będę uleczony. Gdy jestem przy tobie, gdy głos twój słyszę, nowe życie wstępuje w moje piersi spokój mię ogarnia, i szczęście niewysławione zaciera pamięć trudu! Beato moja! tyś moim aniołem-stróżem, co otacza swą opieką, umacnia upadającego—chroni od złego osłoną swych białych skrzydeł. Jabym nie mógł być złym! gdy wspomnę na twoje czoło szlachetne, nieskalane, staję się lepszym —śmiało zwyciężam przeszkody — i dążę do ciebie! do ciebie!....

Emanuel ujął jej rękę—ona kładąc dłutko położyła drugą na jego ramieniu—i mówiła z uśmiechem szczęścia:

— A jednak ja dziś klęcząc przed twoją fotografiją, prosiłam twego przebaczenia!

— Za co? najdroższa.....

— Dziś po sprzedaniu cacek, byłam w księgarni, po książki i nuty— niewiedziano gdzie mi je odesłać; powiedziałam mój adres —księgarz spytał o nazwisko—musiałam wyrzec tylko imię, które mi nazwisko zastępuje razem— zdziwił się —a ja — przyszedłszy do domu— płakałam!..

— Płakałaś, Beato?..

— Daruj mi, Emanuelu! chwilę tylko dałam się unieść żalowi — lecz potem uczułam całą niewdzięczność mego serca. Sama—bez rodziców — bez sposobu do życia, znalazłam najprzód tkliwą opiekunkę w ciotce, która ze szczególnem poświęceniem zajęła się mojem wychowaniem — od kolebki aż do końca zeszłego roku, miałam serce i starania prawdziwie macierzyńskie. A później—ty mój najmilszy—ty, piękny, książe—z wysokiego rodu— ukochałeś sierotę bez nazwiska; dałeś jej skarby uczuć i szczęścia!—o Emanuelu! ja powinnam dziękować Bogu za sieroctwo moje, bo mię udarował największemi dary — sercami pełnemi bezinteresownego kochania!...

Promień zachodzącego słońca rzucił światło na dwie piękne młode głowy, pochylone ku sobie—złocista aureola zdawała się okrążać je—od jasnych włosów promieniejących w świetle jeśniały ich oczy i czoła nieziemskim zachwytem. Dłonie ich były złączone— serca biły jednako uczuciem prawdziwego szczęścia!..

Pierwsza Beata ocknęła się z marzącej bezczynności, łagodnie wysunęła swą rękę z dłoni Emanuela—odgarnęła lekko jego piękne włosy—i rumieniąc się, pocałowała białe czoło narzeczonego. On podniósł ku niej swoje niebieskie oczy—objął jej smukłą kibić—pochylił ku sobie, i nie broniącej się, choć różowej jak jutrzenka pocałunkiem odpowiedział na słowa tak miłe.

— A teraz do pracy!—szepnęła zapłoniona Beata— a rumieniec nadawał jej rysom cóś nieokreślenie czarownego,

Beata przez cały tydzień wyrabiane cacka sprzedawała w sobotę rano, i pieniądze z nich obracała na wydatki i potrzeby domowe; co sobotę zaś pracowała na korzyść biednych, i fundusz stąd uzbierany składała do osobnej szkatułki, z której niejeden grosz ocierał łzę niedoli. (*D. c. n.*)

O HIGIENICZNEM URZĄDZENIU SZKÓŁ.

(PODŁUG D-RA LOUIS PAPPENHEIM)

skreślił

Stanisław Wojciech Łukowski.

(*Ciąg dalszy.*)

Siódme pytanie odnosi się do kwestyi o upałach letnich i świetle.

Co do pierwszej z nich, która zwróciła na siebie w nowszych czasach szczególną uwagę, pedagogija i medycyna schodzą się w swych poglądach—przyznają one, iż zajęcia popołudniowe nie są wygodne z powodu wielkiego gorąca, i zgadzają się, aby je zastąpić lekcyjami w porze dnia, kiedy słońce nie tak silnie dogrzewa. W miejscach, gdzie podobna zmiana nie jest jeszcze zaprowadzoną, należy się troszczyć o jej urzeczywistnienie.

Co do światła, powinniśmy zwrócić uwagę nauczycieli, że do liczby zimowych popołudniowych zajęć (t. j. od 3 do 4 godziny), nie powinny wchodzić takie, przy których nauce potrzebnem jest rozpatrywanie drobnych przedmiotów, gdyż to sprzyja rozwojowi krótkowidzenia. Tym sposobem, dla zachowania normalnego stanu wzroku, domowe zajęcia uczniów zimą przy sztucznem oświetleniu, powinny być według możności usunięte. Na nieszczęście, prawidło to jest wprost przeciwne zadaniu zimowego półrocza szkolnego, i dla tego, mamy też tak wielu pomiędzy dziatwą upośledzonych krótkim wzrokiem.

Tutaj także należy kwestyja *o wakacyjach szkolnych*.

Zdaniem naszem, (mówi Pappenheim), wakacyje powinny być zupełnie zniesione w szkołach, a natomiast, należy wyznaczyć pewne dni do odpoczynku w ciągu roku.

Przedpłata wynosi Rs. 1 i składaną być może u autora (Plac Zielony, Nr. 10) lub w księgarni Gebethnera i Wolffa.

* *
*

W sierpniowym zeszycie *Ekonomisty* spotykamy się z artykułem „O teoryjach socyjalnych we Francyi" poczerpniętym w przekładzie niektórych ustępów z dzieła Daniela Sterna (hrabiny d'Agoult) p. t. „Historyja rewolucyi francuskiej 1843 r."

W pracy tej lekko dotknięto charakteru niektórych pojęć ówczesnych socyjalistów jako: Saint-Simon'a, Fourrier'a, Muiron'a, Cabet'a; Ludwika Blanc'a, Raspail'a. Proudhon'a i innych.

Jest to praca, która ma pozór wstępu do większego artykułu w tym przedmiocie, lecz jako artykuł osobny jest niedokończoną całością. Lepiej było skompilować całe dzieło Sterna, z czegoby się czytelnik mógł czegoś dowiedzieć. Przedmiot ten, w tak starannie prowadzonem piśmie jak *Ekonomista* powinien być gruntowniej opracowanym. Na uznanie za to zasługuje artykuł redaktora p. t. „Działalność Banku Polskiego". Uwagi w nim zawarte o czynnościach tej instytucyi i o reformach, jakie przedsięwziąć powinna odznaczają się trafnością. Sądzimy więc że Bank Polski obojętnie na podobne uwagi patrzyć nie będzie. lecz przeciwnie nieomieszka z nich korzystać.

* *
*

Janów Zamojski d. 20 Października.

W jednym z ostatnich numerów Opiekuna Domowego poruszoną była kwestyja rozszerzania się drobnéj własności ziemiańskiéj w różnych stronach naszego kraju, a głównie w południowéj części gubernii Lubelskiéj. Otóż postanowiłem zakomunikować w tym względzie szanownéj redakcyi parę szczegółów, które jako mieszkaniec tutejszéj okolicy, miałem sposobność bliżéj poznać. Rzeczywiście kolonizacyja odbywa się w tych stronach na dużą skalę, ale podobny fakt daje się spostrzegać i w północno-wschodniéj Galicyi. Tam włościanie unickiego wyznania nabywają ziemię bądź od szlachty, bądź od innych włościan, zwiększając w skutek tego liczbę drobnych posiadaczy. Dodać należy, że płacą dobrze i gotówką, a więc nie dziw, że każdy chętnie im sprzedaje.

U nas zaś żywiołem kolonizacyjnym są głównie włościanie galicyjscy, katolicy, a w części także i Niemcy osiedli od dawna w Galicyi, mówiący łamanym polskim językiem, którzy spieniężywszy tam dobrze swoję ziemię, przechodzą naszę granicę i kupują tutaj grunta daleko taniéj. Kolonizacyja taka ma miejsce u nas od 3 lat, i liczba drobnych właścicieli ziemskich potężnie wzrasta.

Przy téj sposobności, chcę zanotować jeszcze jeden objaw pocieszający. W Janowie zebrało się kółko z 16 osób złożone, które za wspólne pieniądze postanowiło prenumerować kilkanaście pism, w téj liczbie i Opiekuna Domowego. Projekt ten już od paru miesięcy urzeczywistniony został. Tym sposobem Janów, chociaż odcięty od świata cywilizacyjnego, bo nawet z Lublinem szosą połączony nie jest, daje ślady życia. Jedną z osób wpływających tutaj na podniesienie ruchu umysłowego jest p. Seweryn Michalski, młody lekarz, który nie tylko ciało nasze w chorobie uzdrowić, ale i duszę pokrzepić potrafi... *S.*

* *
*

P. Aleksander Osiecki wystawił w Poznaniu okazywany już przed paru laty w Warszawie obraz plastyczny, przedstawiający w najdrobniejszych architektonicznych szczegółach styryjskie miasteczko Freinmark i zamek Freienschlos, wyrobiony z korków od butelek wina szampańskiego.

Przekonani jesteśmy, że wprowadzenie podobnej zmiany, jest zgodniejsze z wymaganiami fizyjologicznemi i korzystne zarówno dla nauczycieli jak i uczniów. Sami nawet pedagogowie, nie potrafią dowieść racyjonalnego znaczenia wakacyj, i przypuszczają je jedynie, jako czysto fizyjologiczne urządzenie. Takie w rzeczywistości znaczenie, mogą mieć one, lecz tylko wtedy, jeśli poświęcimy je na podróże, choćby nie wyłącznie dla osobistej przyjemności, lecz w celach naukowych, co mówiąc wogóle, jest z powodów finansowych prawie nie możebnem do wykonania, zwłaszcza dla uboższych uczniów. Dodamy do tego, że wakacyje, które istotnie stanowiłyby czas, wyznaczony dla odnowienia sił nauczycieli i uczniów, w praktyce nie istnieją dla wszystkich, gdyż mała tylko bardzo cząstka młodzieży używa podczas nich właściwego odpoczynku, inni zaś starają się wtedy usilną pracą wynagrodzić swe w ciągu roku zaniedbanie, lub zajmują się przygotowywaniem młodszych uczniów do egzaminów szkolnych.

Co do ósmego pytania, w gimnazyjach pruskich, przyjęto obecnie za prawidło, karać uczniów aresztem pod dozorem nauczyciela. W każdym razie, nawet i przy braku dozorców, w osobie nauczycieli, nie należy pozostawiać dziecka samotnie pod zamknięciem, bo to grozi rozmaitemi nieszczęściami [1]).

Pytanie dziewiąte dotyczy onanizmu, nałogu rozwiniętego w silnym stopniu, nie tylko między chłopcami, lecz i między dziewczętami; złe to, pociąga za sobą smutne następstwa, tembardziej, że nie ma oznak, podług których możnaby odróżnić przestępcę i wydalić go ze szkoły. Wogóle, jeżeli uda się odkryć dzieci, zajmujące się tą zgubną namiętnością, to tylko z doniesienia towarzyszów, lub przypadkowo. Dla ochronienia dzieci od rzeczonej namiętności, nie ma prawie żadnego sposobu. Zaszczepienie w dzieciach zdrowej moralności, a nawet wczesne zaznajomienie ich ze szkodliwemi następstwami tego nadużycia, zastosowane do ich pojęć, przy ciągłem baczeniu za ich postępowaniem, są najlepszemi, przeciwko temu środkami. Złapanych na uczynku, lub przekonanych o jego wykonywaniu, radzimy nie wypędzać zaraz ze szkoły, lecz starać się wpłynąć na ich poprawę drogą moralną, a w ostatecznym razie, nie pominąć i ukarania fizycznego.

Co do dziesiątego pytania, jeśli szkoła posiada nauczyciela fechtunku i gimnastyki, dzieci zdatne do tych zajęć, powinny być wybrane przez lekarza. Nauka rzeczona przyniesie im tę korzyść, że prócz rozwoju mięśni, uczniowie nawet w chwilach odpoczynku, znajdować się będą pod dozorem. Lecz przytem należy pamiętać, że jedna godzina, lub nawet i kilka w ciągu tygodnia poświęcone gimnastyce, nie zadowalniają całkiem fizyjologicznych wymagań higieny dzieci, dla których ćwiczenie mięśni jest codzienną potrzebą. Cel ten może być osiągnięty, tylko przez zniesienie przydługich wakacyj, o czem mówiliśmy wyżej. (*D. n.*)

[1]) Smutnych wypadków co do tego, nie brak w kronikach szkolnych. Przytoczymy tu z czasów naszego pobytu w b. Szkole Powiatowej w m. Łęczycy, fakt, który mocno wtedy przeraził całą szkołę i mieszkańców. Jeden z uczniów młodszych, zamknięty w sali klasowej na 1-m piętrze, samotnie, za jakieś drobne przekroczenie, uroił sobie, iż w tym pokoju gdzie zostawał, pokutuje duch jego kolegi niedawno zmarłego, że słyszy jego jęki i chód. Przerażony więc do najwyższego stopnia i niezdolny do opanowania rozbujałej swej wyobraźni, rzucił się naprzód do drzwi z wielkim krzykiem, gdy zaś te zastał zamknięte, przeleciał do okna i wyskoczył na bruk z wysokości kilku sążni,—a jakkolwiek nie zabił się na miejscu, długo przecież po tem musiał pozostawać pod opieką lekarzy i nazawsze już był kaleką ze złamaną nogą! Niemniej i inne powody przemawiają za dodaniem dozoru zamkniętym w areszcie uczniom. Jeśli zaś dozór taki nie wszędzie jest możebnym, należy, koniecznie postarać się o to, aby pokój przeznaczony na areszt, miał okna zakratowane, oraz aby nie był obrany w miejscu wilgotnem i ciemnem, mianowicie w podziemiach.

LISTY ZE STAREGO OBOZU.

PRZEZ

Bolesława Prusa.

(Dalszy ciąg).

Krewny nasz, Stanisław, umyślił zostać inżynierem i pojechał do jakiejś niemieckiej szkoły Politechnicznej. Szęście w ogóle sprzyjało mu, lecz on sam robił bardzo niewiele. Gdy inni słuchali wykładów, on słuchał ogródkowej muzyki, gdy inni rysowali, on tańcował—gdy inni chodzili na studyja, on chodził na majówki. Z pierwszego kursu przeszedł, na drugim został, aż w końcu wrócił do domu na gospodarkę,—złorzecząc niemcom, że pracy jego nie umieli ocenić. Dziś, ożenił się bardzo szczęśliwie i w swojej okolicy robi efekt, jest to bowiem chłopak w gruncie dobry, wygadany i nie głupi; zbiera zatem owoce swego wykształcenia, lecz nie jako inżynijer, ale jako światowiec. Nie mniej jednak Stanisław sądzi, że mógł być znakomitym inżynierem, tylko że mu los nie dopisał.

Łatwo poznasz, z jakich źródeł tego rodzaju złudzenia pochodzą, oto: naprzód ze zbytecznej wiary w siebie, powtóre z wiary w opiekę losu, potrzecie z nieznajomości praw kierujących życiem codziennem.

Inny, podobny Stanisławowi facet, niejaki Adam, dziwił się niewymownie temu, że on, który miał w szkołach opinję najzdolniejszego nie ukończył uniwersytetu, zaś jeden z jego kolegów powszechnie „mułem" nazywany ukończył z odznaczeniem.

— Za cóż to nazywaliście biedaka mułem? pytam Adama.

— A za to, uważa pan mój, że bez względu na niedzielę, święta i wakacyje, po całych dniach robił.

— Ileż też godzin pracował dziennie? pytam znowu.

— Najmniej po 10, odpowiada.

— A ty ile robiłeś?

— Ja nie robiłem codzień—niepotrzebowałem robić codzień! Dla mnie było dosyć na miesiąc przed egzaminami zabrać się do czytania. Co prawda,—dodał—pracowałem wówczas średnio po godzin 16-cie!

— Ot widzisz, rzekłem mu, dla czego mimo zdolności nie skończyłeś uniwersytetu! Muł uczył się w ciągu roku godzin 3,650, ty zaś według własnego świadectwa, tylko 480, pracował zatem 7 razy więcej i zapewne umiał też 7 razy więcej od ciebie.

— Ale, oburzył się Adam, pan nie bierzesz w rachubę zdolności!..

— Przypuśćmy, odpowiedziałem, że byłeś 3 razy zdolniejszy od niego, to znaczy tylko, że twoje 480 godzin pracy warte są tyle co jego 1440, a i w tedy jeszcze wypadłoby, że muł musi blisko 3 razy więcej umieć niż ty!

Oj młodzi, młodzi ! jak często wy zapominacie o słowach pewnego wielkiego człowieka, „że cierpliwość jest genijuszem," i że nie łatwość zapamiętania, ale wytrwałość cechują ludzi znakomitych!

Poznawszy indywidua łudzące się co do swej osobistej wartości, zobacz teraz ludzi nieograniczenie ufające w opiekę losu.

W jednem z naszych miasteczek żyje po dziś dzień pani M. wdowa emerytka, która od dwunastu lat większą połowę swego dochodu obraca na loteryją. Radzono jej, aby oddawszy dzieciom swój grosz emerytalny, zamieszkała u nich, przez co i im dopomoże i sama mieć będzie wygody, ale uparta staruszka ani chce słyszeć o tem, co pół roku bowiem spodziewa się, że wygra 100 tysięcy. Wprawdzie od czasu do czasu wraca jej się stawka, lecz jejmość zamiast grosz obracać na potrzeby domu, dokupuje na nowo bilety i coraz większe do loteryi zakłada pretensyje. Ile to ona dobrego ludziom zrobi jak wygra, ilu ubogich wspomoże, ile kościołów wyrestauruje, ile da posagu najmłodszej córce swojej—tego wszystkiego nie spisałbym na wołowej skórze. Dziś tymczasem, ubodzy odchodzą od jej progu z gołemi rękami, nadworku dach zacieka, córka oddawna została starą panną, a jej matka często chodzi bez trzewików i wyglądając lepszych czasów, żywi się kartoflami, które miłosierny sąsiad na swym ogrodzie sadzić jej pozwala.

Muszę ci w tem miejscu powiedzieć, że życie nasze ma w sobie wiele podobieństwa do gry loteryjnej i że nasze plany, które wyobraźnia przedstawia nam jako pewne, są w ogóle dość wątpliwe, a nawet dość nieprawdopodobne. Nie tylko zatem owa emerytka łudzi się opieką losu; znaleźlibyśmy bowiem łatwo ludzi młodych i ukształconych, którzy również oddają się podobnym złudzeniom.

Mówiłem ci, że twój stryjeczny brat Leon jechał do uniwersytetu w nadziei, że zostanie znakomitym historykiem. Ty sam ukończywszy gimnazyjum, obiecywałeś sobie zostać wielkim matematykiem, a we dwa lata po tobie, Kazimierz miał zamiar zostać wielkim lekarzem. Co zaś do krewniaka naszego Stanisława, to ten wyjeżdżając zagranicę wszem wobec i każdemu z osobna dowodził, że powróci stamtąd największym inżynierem naszych czasów. I otóż z pomiędzy czterech osób mających plany podobne, ani jeden nie został tem czem chciał być, dwu bowiem stanęło w połowie drogi, jeden się zmarnował a jeden rozczarował! A dla czego tak się stało? Dla tego, że jak w loteryi, tak i w życiu tylko na pewien procent biletów przypadają większe wygrane. Z tysiąca matematyków kilkunastu zaledwie zyskają jaki taki rozgłos a może jeden opiniją genijusza. Z tysiąca bankierów, kilkunastu zaledwie przekazują rodzinom znaczniejsze majątki, a jeden tylko trafi się między niemi Rotszyld. Tymczasem prawie wszystkie młode kupczyki obiecują sobie zostać milijonerami, i prawie wszyscy studenci, przynajmniej z dwu niższych kursów, chorują na uczoność. A ileż to podobnych pretensyi sprzeciwia się nawet prawom natury! Iluż to utracyjuszów ma nadzieję pozyskać majątek, ilu brzydalów szuka romansowej miłości, ilu jakatych chce zostac tenorami, ilu garbusów wybiera się na baletmistrzów!...

Z tego wszystkiego co ci od początku aż do chwili obecnej mówiłem, łatwo już poznać dla czego nas spotykają zawody: oto między innemi dla tego, że się nazbyt często łudzimy. Łudzimy się w pojmowaniu natury szczęścia, w pojmowaniu praw kierujących życiem, a wreszcie w pojmowaniu naszej osobistej wartości. Jeżeli zaś zapytasz, co jest przyczyną tych złudzeń, odpowiem, że jest nią nieznajomość życia codziennego.

Widzisz zatem, jak ważną jest sztuka życia, trzeba jej się więc uczyć, jak uczymy się grać, tańcować, czytać i t. d. Lecz wy młodzi nie zastanowiacie się nad życiem, zbadanie jego odkładacie na później, ufni w to, że czas zrobi swoje, a przymioty waszego rozumu i serca dopełnią reszty. Tymczasem zaś i ta ufność opiera się na złudzeniu, jak to przykład następujący okaże:

Kolegował ze mną w uniwersytecie niejaki Tomasz, którego nazywano Katonem, ponieważ surowo potępiał błędy innych i często mawiał: „Wolałbym się zabić, niż stracić u ludzi szacunek."

Będąc już na trzecim kursie, stracił on ojca, człowieka szanownego, po którym zosta-

ło nieco grosza, sprzętów i kosztowności. Syn odziedziczył to wszystko, a wypłakawszy się i wymodliwszy, począł używać pieniędzy, które za życia ojca bardzo nieczęsto widywał. Jednocześnie z pieniędzmi zjawili się i towarzysze do zabaw; byli to różni paniczykowie, młode oficerki, bogatsi koledzy i t. p. Tomasz odwiedzał ich, oni jego — podejmował ich, oni jego — pożyczał od nich, oni od niego, słowem—hulał całą gębą.

Widząc że za nadto wydaje, ostrzegaliśmy go, radziliśmy aby długów nie zaciągał i aby zerwał stosunki które do niczego dobrego nieprowadzą; lecz on przybrawszy surową postać rzekł nam:

— Cóż to, lękacie się abym nie został podłym? Dajcie pokój, wiem ja co znaczy honor i nigdy go nie splamię! *(d. n.)*

HENRYK IGNACY SUCHECKI.

Jego życie i prace naukowe.

(Dalszy ciąg).

Jego prawość myśli i charakteru odbija się w tem, że nie chciał podejmować się uczenia tego, co właściwą jego specyjalnością nie było; on tylko to chciał wykładać, co w duszy swej ukochał. Nie pragnął rozgłosu i sławy, lecz życie poświęcił dla tego, aby, jak pracowita mrówka, ściągał i zgromadzał materyjały, zasoby do ojczystego mrowiska, aby ziomkom zapewnić zdrowy i odżywczy pokarm. Nie wahał się poświęcić utraty względów dla miłości rzeczy ojczystéj polskiej i sławianskiéj, a trudy swe dla niej i na jej łonie składał.

Gdy w Wiedniu ministerstwo nie mogło zachwiać przekonania Sucheckiego, powrócił do Lwowa i jął się pracy nad gramatyką. Od 1846—1857 roku występuje jako gramatyk i filolog polski z zadatkami lingwistyki umiejętnej, W tym czasie wydał:

1) „Głos z Podola“, rozprawa umieszczona w Rozmaitościach Lwowskich z r. 1847, Nr. 6, 7, w któréj gromi wprowadzenie w Rządowéj Gazecie Lwowskiéj pisowni: Fran-cia i t. p., podając za najlepsze pisanie: Fran-cy-ja z naciskiem głosu na trzeciéj z końca zgłosce.— Wystąpienie to skutkowało, bo odtąd dawnym trybem przestano pisać.

2) „Niektóre uwagi o pisowni“ (w Bibl. Zakł. Ossolińskich, 1848, Zesz. II) wykazujące: że rodzima filologja polska wymaga form a) jich, jim, moji, stojimy, rozmajity, poezyja tak jak dawniej Polacy pisali; b) dobrym, dobrymi a nie dobrém, dobrémi, bez względu na rodzaj, jak bywało po wsze wieki.

Następnie występując z wynikami swych badań gramatycznych z kolei po Muczkowskim, nie naśladuje go, ale raczej bierze za podstawę do nowych śledzeń pomysły Szopowicza, Felińskiego, Mrozińskiego, Żochowskiego i Bronikowskiego, prócz dawniejszych gramatyków, jak: Stojeński, Meniński, Małecki, Moneta, Kopczyński, i obcych, sławiańskich, jak: Józef Dobrowski, Aleksander Wostokow, Wuk Stefanowicz, Ant. Jan Murko, A. Dobrzański, i innych.

Aby zaradzić naglej potrzebie, czyniąc wyciąg z obszernych już materyjałów w zakresie sławiańskim, ułożył do użytku w szkołach:

3) „Nauka języka polskiego“ na 3 kursy rozłożona, Lwów, 1849 r.

Niebawem w skutek téj pracy Tow. Naukowe Krakowskie przysłało autorowi dyplom w d. 23 lipca 1849 roku na członka korespondującego, a ministerstwo oświecenia poleciło tę książkę do użytku szkolnego wraz z następującemi dwiema;

4) „Związła nauka języka polskiego“ dla uczącéj się młodzi. Lwów, 1849.

5) „Krótka nauka języka polskiego“ dla początkującéj młodzi. Lwów, 1849.

W r. 1850 wezwany we Lwowie do wykładów polskich przy nowo założoném gimnazyjum polskiem, przyjął te obowiązki i miał w ciągu lat kilku udział w pracach dwu komisyj do układania książek elementarnych dla szkół początkowych i „Wypisów polskich“ do użytku wyższych i niższych klas gimnazyjalnych, a za to otrzymał od ministerstwa wyznań i oświecenia dekret dziękczynny „za gorliwość.“

Następnie wydał:

6) „Ustęp z lin gwistyki porównawczej.“ Lwów, 1851. Broszura in 4-o.

7) „Wstępna gramatyka polska“ dla szkoły początkowej. Lwów 1852. — Wydanie II. Lwów, 1857.— Wydanie III. Praga, 1859. — Dziełko to, którego metoda chlubnie wyszczególniona przez ministerstwo, używane było ciągle w Galicyi a w Poznańskiem przez pruską władzę szkólną zalecone dla szkółek dekretem autorowi przysłanym.

Opracowania ze względu na plan szkólny i rozdzielenia na dwie książki wymagało dzieło pod Nr. 4 przywiedzione, i wyszło pod tytułem:

8) „Związła gramatyka polska“, kurs wyższy. Wydanie II, przerobione. Lwów 1853.— Wyd. III. Lwów, 1856.— Wyd. IV, przerobione i pomnożone. Praga. 1859. Używana w Galicyi i w Poznańskiem.

9) „Związła gramatyka polska, kurs niższy“. Wydanie II. Lwów, 1853.— Wyd. III. Lwów, 1854.— Wyd. IV. Praga, 1857. — Wyd. V. Praga 1859. Używana w Galicyi i w Poznańskiem.

10) „Przegąd form gramatycznych języka staropolskiego“, dzieło wysnute z badań najdawniejszych pomników językowych wr. 1855 przesz władzę szkolną niepoprawnie wydane, bezimiennie wcielone w „Wypisy Polskie“ dla klas wyższych gimnazyjalnych. Tom I. Lwów, 1837, a rozebrane krytycznie w Bibljotece Warszawskiej z r. 1860, przez prof. Feliksa Żochowskiego.

11) Artykuły liczne bądź opracowane bądź zredagowane weszły w skład „Wypisów Polskich“ dla szkół gimnazyjalnych. *(d. c. n.)*

UCZUCIA u DZIECI

i sposoby ich kształcenia.

Chociaż egoizm objawia się bardzo wcześnie w każdém dziecku, widoczną jednakże jest w każdem skłonność do kochania, pociąg do otaczających go ludzi. Może to powstawać z samych potrzeb dziecka, które przymuszają je szukać i pragnąć pomocy; — widać przecież wyraźnie, że jest w tem także coś bezinteresownego, że to jest istota przeznaczona do życia wspólnego, towarzyskiego; że chociaż szczęścia przedewszystkiem dla siebie pragnie, szukać go nie będzie w samotności i znajdzie je najpewniej w miłości sobie podobnych. Trzy-miesięczne niemowlę, choć ma zaspokojone wszystkie potrzeby, rade jest widocznie z nadejścia matki lub niańki, przyjmuje ją uśmiechem, a przeprowadzając oczkami odchodzącą, nieraz płakać zaczyna. Zaspokojenie głodu jest pierwszą potrzebą dziecka i rzeczywiście przywiązuje się ono najwięcej do matki lub mamki, która mu tę potrzebę załatwia. Widziałam jednak matki troskliwe, które dla niedostatku pokarmu lub braku zdrowia przymuszone odstąpić innej drogiego przywileju macierzyństwa, karmienia dziecka, starań mu swoich nie odbierały; jeżeli przytem mamka była leniwą, niedbała o dziecko, albo więcej zajęta czem innem,— dziecko przywiązywało się do matki daleko więcej; i widocznie przywiązanie jego do mamki było jedynie interesownem, miłość zaś dla matki miała w sobie coś głębszego i trwalszego.

Zdolność kochania rozwija się w dziecku z dniem każdym, a przedmiotem jej są za zwyczaj naprzód rodzice. Dziecię tak prędko rozumie, instynktem prawie zgaduje kto je najlepiej kocha, że bardzo często widzimy kilkoletnie dziecko ukarane za swywolę przez ojca lub matkę a odpychające pieszczoty niańki usiłującej je pocieszyć. Niedawno widziałam jak chłopczyk trzyletni będąc chorym, nie chciał przyjąć w nocy przykrego lekarstwa. Prożby i namowy obojga rodziców nie skutkowały i nakoniec zmęczeni odeszli od dziecka, nie karząc go ani mu grożąc, lecz tonem niezadowolnionym, którego zwykle nie używają, dając mu poznać że są z niego niekontenci. Chłopczyk niemógł potem zasnąć; długo przewracał się i płakał cicho w swojem łóżeczku. Nareszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, zawołał: „Mamo! już Leoś będzie pił lekarstwo!“ I wypił choć z największą odrazą, tak mu przykro było widzieć niezadowolnionych z niego rodziców. Oto już więc w tem dziecku objawiło się uczucie i potrzeba kochania, kiedy dla jej zaspokojenia zrobił nawet pewną ofiarę. Jeżeli rodzice potrafią korzystać z niej i używać tego środka w wychowaniu, może on zastąpić miejsce kar i surowych środków. Tu skłonność do kochania zwraca się też i ku innym ludziom i coraz mniej staje się samolubną. Zajmującą jest rzeczą obserwować to na dzieciach. Każde dziecię rade jest mieć towarzysza zabawy, ale spotkawszy się, te dwa egoizmy muszą się nieraz z sobą zetrzeć, nim swoje stosunki wzajemne zrozumieją i nauczą się ustępować jedno drugiemu. Dziecię np. którem się zajmu.emy, krzywdzi towarzysza zabawy. Towarzysz nie chce się z nim bawić. Jeżeli starsi nie przychodzą z interwencyją, rzecz się kończy na dąsaniu i nudach. Po kilku takich zdarzeniach, malec spostrzega, że lepiej jest żyć w zgodzie z towarzyszem, i stara się o jego przyjaźń. Z początku lubi go tylko dla weselszej zabawy, powoli nabiera nałogu przestawania z nim, przywiązuje się do niego. Krzywda towarzysza już jest jego własną, gotów bronić go przeciw całemu światu. Widok jego cierpienia pobudza go do łez. Wkrótce gotów jest sam pozbawić się dla niego różnych przyjemności, dzielić się tem, czego sam używa. Nie zawsze to jednak ma miejsce, egoizm zwierzęcy często bierze górę; to też widzimy codzień dzieci wydzierające sobie zabawki;—ale stosownie do dalszych wpływów, czy umyślnych, czy przypadkowych i do natury uczuciowej dziecka, ta przewaga egoizmu zwierzęcego staje się coraz mniejszą.

Używając uczucia jako skutecznego, środka w wychowaniu, wielką jednak baczność mieć należy, aby nie roztkliwić zbytecznie dziecka. Powtarzane często sceny czułe są zawsze dla niego szkodliwe tak fizycznie jak i moralnie.

Bo jeżeli rozczula się szczerze, rozdrażnia to jego nerwy i jak każdy smutek źle wpływa na zdrowie; jeżeli zaś dziecię spostrzeże, że to jest dobry sposób otrzymania pieszczot rodziców i ich pochwał, łatwo bardzo stać się może fałszywem. Nie pamiętam kto powiedział wielką prawdę że w uczuciu dziecka powinna być pewna doza wesołości, pogoda;—smutek, tęsknota nie są właściwe dla dzieci. Nie mówię, żeby tych uczuć doznawać nie miały, ale trzeba pilnować, aby w nich nie trwały długo — trzeba raczej starać się, aby uczucie, którego doznają, stały się zaraz w czynie okazać. Dziecię rozrzewnia się zwykle kiedy przeprasza za zły postępek i żałuje że obraziło matkę. Wtedy matka udzielając przebaczenie nie powinna

męczyć go długo i rozczulać przypomnieniem tego co zaszło, ale podać mu prędko srodek przekonania jej o swej poprawie. Staś np. jest strofowany za to, że niedawał swoich zabawek Helence. Miał stąd podwójną nieprzyjemność; bo i Helenka płakała i okazała mu, że go nie lubi i mama była niekontenta, przedstawiła mu żywo jak jest niedobrym braciszkiem i rozczuliła aż do łez. To nie dosyć że Staś płacze i obiecuje poprawę, trzeba postarać się aby wkrótce potem Staś miał sposobność dopełnienia swej obietnicy i zrobienia pewnych ustępstw Helence; żeby to zrobił nie na rozkaz matki ale bez żadnego jej wpływu jedynie przez pamięć na niedawno zaszły wypadek. Siostrzyczka okaże ukontentowanie, mama go uściska za grzeczność, i to zadowolnienie z ich miłości, jakie Staś mieć będzie, porównane z doznaną niedawno nieprzyjemnością wyryje mu się w pamięci tak silnie, że zawsze się będzie o nie starał.

Dziecię okazuje smutek, widząc cierpiącą matkę, ojca lub kogoś z rodzeństwa. Nie można pozwolić smucić się długo; ale też nie trzeba go rozweselać, jak to zwykle robią, i odprowadzać na stronę, aby się bawiło wesoło, kiedy ukochane osoby cierpią. Trzeba zwrócić jego uwagę na starania jakie się robią dla ulgi chorego, trzeba je dopuścić do brania udziału w tych staraniach. Dziewczynki szczególnie powinny być wcześnie używane do pomocy w pilnowaniu chorych, w przyrządzaniu dla nich lekarstw nawet wtedy, kiedy tu ich pomoc nie wiele jeszcze warta;—ale i chłopczyki nie powinni się uważać za istoty odmiennej natury, których takie starania się nie tyczą, i powinni wiedzieć zawczasu że męskość nie zależy na tem, żeby nie mieć serca. Łatwo bardzo znaleźć i tu dla nich zajęcie, wymagające większej siły, które ich odróżniają od dziewczynek, ale nie wyłączać ich od niesienia pomocy cierpiącym.

Niezbyt jeszcze dawno, było w zwyczaju przy staranniejszem wychowaniu zbytecznie rozwijać uczucie, — budzono w dzieciach a szczególnie w dziewczętach jakąś czułość chorobliwą, sentymentalną, egzaltowaną, która najczęściej w gruncie była samolubną i z którą później bardzo im było źle żyć na świecie. Dziś w ogóle wpadają w przeciwną ostateczność: uprawiając rozum tylko, zaniedbują rozwinięcie uczucia. A kiedy później przyjdzie odwołać się do młodzieńczego serca, dziwią się, że go w pustej piersi nie słychać.

Uczucie można porównać do delikatnej rośliny, która potrzebuje koniecznie właściwej sobie atmosfery i temperatury aby się należycie rozwinąć. Zimno ją zwarzy, raptowne zmiany zabiją, ale w zbytniem cieple także się ona wysili, wybuja i nie wyda kwiatu ani owocu. Atmosferą właściwą, w której się najlepiej uczucie rozwija, jest dom rodzicielski. Tam otacza dzieci od kolebki wrodzona miłość rodziców, która już mimowolnie wzajemność budzi, troskliwość ich naturalna o dobro dziecka, byleby tylko to dobro rzetelnie pojmowali, skłoni ich łatwiej niż obcych ludzi do wszelkich ofiar, do dopełnienia trudnych nieraz warunków. Łagodne obejście, bez zbytnich pieszczot — na to łatwo zdobyć się względem dzieci;—ale trzebaby także postarać się, aby dom cały tchnął życzliwością dla bliźnich, aby dziecę nie słyszało z ust ojca lub matki przykrego szyderstwa albo złośliwej obmowy, aby nie widziało braku względności dla sług, dwulicowości dla gości, twardej odmowy dla żebraka, aby w postępowaniu rodziców a szczególnie matki widziało zawsze i dla każdego szczerą i uprzejmą przychylność. Bo rzeczywiście, zdaje się, że pierwszym i nieodzownym warunkiem jest, wychowując dzieci, *popracować także nad sobą*. Do doskonałości nie dojdziemy zapewne, ale sam cel piękny już nas do niej zbliży i starania nasze ułatwi. Jeśliby zaś w obec dziecka trafiło się wykroczyć, unieść się, zapomnieć wyznajmy to szczerze, — lepiej jest kiedy dziecko zwątpi o nas, niż gdyby miało zwątpić o zasadach, które w nie wpajamy.

Usposobiwszy serca dzieci przyjaźnie dla otaczających go, na tym gruncie łatwo już dadzą się wszczepić wszystkie wznioślejsze uczucia, które później przez czytanie lub opowiadanie pięknych przykładów, szlachetnych poświęceń wpajać w nie będziemy.

F. K.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kowno w Październiku 1872 r.

Obiecałem wam od czasu do czasu pisywać listy z Kowna... Bóg wie czy dotrzymam jednakże słowa.

Ponieważ rzeczy rodzinne w piśmie waszem obszerne znajdują pomieszczenie — wypadałoby i mnie może od rodzinnych u nas rozpocząć stosunków — zwłaszcza, że życie towarzyskie mamy tu dosyć rozwinięte. Otóż w domach familijnych zbieramy się dosyć często— a że towarzystwo do ukształcenia wiele się przyczynia — więc przy zabawie się moglibyśmy wiele skorzystać—gdyby nie jedno fatalne *ale*. Tym zaś *ale* jest to, że kwestyje społeczne, rodzinne, wychowawcze, nikogo tu nic a nic nie obchodzą—i dosyć napomknąć o nich—by starych i młodych z brzydkiej i pięknej połowy zarówno na raz z salonu wystraszyć. Cóż więc spytacie robimy na zebraniach?—Na to odpowiem wam krótko — starzy gawędzą lub grają w preferansa, młodzi albo tańczą, albo bawią się rozmową, to jest rozmawiają o niczem—albo co się najczęściej przytrafia, grają także w karty—grają po całych wieczorach w *sechs und sechzig*, o której to rozrywce w Warszawie nie słyszeliście może wcale, a która u nas nawet pomiędzy młodzieżą płci nadobnej, liczy wiele zwolenniczek.

Ma się rozumieć, że wobec tego w towarzystwach naszych na powierzchowność przedewszystkiem zwraca się baczną uwagę — więc elegancka fryzura, zawiązany zgrabnie krawat i modny żakiet są najlepszą miarą wychowania i wykształcenia — najlepszą rękojmią powodzenia u płci pięknej. To też młodzież nasza męska nie dba zdaje się o nic więcej, nie czyta nic w ogóle, bo czytających choćby powieści i to *jak najlżejsze* na palcach policzyć można a gdy zbierze się razem—bawi się opowiadaniem prawdziwych lub zmyślonych skandalów i skandalików— w pokorze ducha najzupełniej jej wystarcza. Wierzcie lub niewierzcie, ale mówię wam seryjo, że bardzo znaczna większość z tej młodzieży, dobremu drugoklasiście pod względem wiadomości z historyi, geografii, matematyki—nie dotrzymałaby placu.

Pism też peryjodycznych bardzo mało do Kowna przychodzi a i z tych większa część numerów bez odczytania odkłada się na półki, bo jak powiedziałem artykuły w kwestyjach poważniejszych uważają się za rzeczy ciężkie, nudne i nie obchodzą nikogo.

Panie nasze przyznać trzeba, więcej od mężczyzn czytają, chociaż romanse, powieści i powiastki, przekładają nad wszystko inne. Czy więc czytają z zamiłowania? Zdaje się że nie — prawdopodobniej z nudów. Kobiécie bowiem, zwłaszcza młodej mężatce, a już Boże zachowaj pannie, samej nigdzie ruszyć się u nas nie można—i dosyć dwa razy ukazać się jej w ten sposób na ulicy — by się narazić na pełno złośliwych uwag i złośliwszych jeszcze domysłów.

Jako jedyny objaw pocieszający—donieść wam muszę, że kilka młodych panien tutejszych, zawiązało towarzystwo do abonowania pism peryjodycznych i użytkowania z nich nawzajem. Objaw to powiadam pocieszający, tymbardziej że jeżeli kto, to młode dziewice nasze na rozwój umysłowy młodych mężczyzn najskuteczniej mogą wpłynąć. Choćby bowiem dla tego, by źle się nie wydać—trzeba będzie wziąć się do nauki i czytania, zwłaszcza gdy wobec kobiet rozumnych nie dość będzie kilku stereotypowych komunałów, dla pokrycia umysłowej nędzy — nie dość modnego fraka dla osłony nicości moralnej. Serdecznie więc zacnej przyklaskujemy myśli, gorąco pragnąc by jak najprędzej w czyn się zmieniła, i by szczupłe dziś gronko—dobrym przykładem, większą za sobą pociągnęło liczbę. Tyle o życiu prywatnem. O życiu publicznem nie wiele także mam do zakomunikowania szczegółów. W ostatnich dniach Sierpnia przybyła tu z Wilna trupa akrobatów i skoczków Wiljama Vijola. W Wilnie jak mi mówiono, nie powiodło się jej wcale, więc po dwu czy trzech przedstawieniach drapnęła stamtąd do nas. A trzeba wiedzieć, że akrobaci, magicy i t. p. ichmość kuglarze, znajdują zawsze dobre w Kownie przyjęcie. P. Vijol dał kilkanaście (ze 20) przedstawień, i chociaż przedstawienia te niedorównywały podobnym w r. 1867 i 1870 przez Turujera i Szyndlera produkowanym, każde z nich przyniosło około 150 rs. dochodu. Cyrk zawsze był przepełniony i dla wielu amatorów miejsca jeszcze nieraz nie stało.

Słyszałem że p. Vijol zachęcony powodzeniem miał zamiar przez całą zimę u nas pozostać, ale odstręczyło go bliskie z Wilnem sąsiedztwo, a raczej dokuczający mu a liczni wierzyciele wileńscy. Niespodziewany jego wyjazd zdziwił i zmartwił wielu, sam np. słyszałem utyskującego na to, a nie młodego już i familijnego jegomości—chociaż miał sposobność ubawić się do syta, na każdem prawie bywając przedstawieniu. Znam też młodą jednę panienkę— która straszliwie oburzała się na wszystkich, co nie zachwycali się łamańcami wydrwigroszów. Narzekamy na biedę — na pismo, na książkę, nie ma złotówki choćby—na akrobatów i magików—i rubli znajdzie się dosyć,

Ledwo wyjechał Vijol, zjawił się jakiś *Zori* magik, który zachwycał nas ucinaniem sobie głowy i kładzeniem jej pod pachę. Na pustki w kasie, nie miał sposobności ani jeden raz narzekać.

Mieliśmy tu także dwa czy trzy bodaj koncerty—dawał je niejaki p. Allerman, rodem z Kowna, wychowaniec jak mówiono Konserwatoryjum paryskiego, ze współudziałem pp. Abelsona i Michiewicza. Na muzyce się nieznam dobrze, więc w szczegółowe nie będę się wdawał rozbiory, zanotuję tylko że osób zawsze dosyć bywało.

W ostatnich czasach krążyły pogłoski o otworzeniu w Kownie gimnazyjum realnego—którego potrzeba dawno już uczuwać się daje. Naukowych zakładów w ogóle mamy za mało. Gubernija Kowieńska liczy około 1,200,000 ludności (M-to Kowno 30,000); otóż na całą tę ludność mamy *dwa gimnazyja klasyczne* w Kownie i w Szawlach (dawniej były jeszcze w Poniewieżu i Kiejdanach) progimnazyjum w Telszach i Wilkowiszkach—oraz dwie trzy-klasowe szkoły powiatowe w Rossieniach i Nowoaleksandrowie. Dawniej liczba uczniów w klasie nie była przepisami ograniczoną, było ich więc dwa razy prawie więcej jak dziś. W progimnazyjum np. w Telszach, w którem i ja kształciłem się kiedyś, liczba uczących się do 400 zwykle dochodziła—gdy dziś w gimnazyum Kowieńskiem ledwo 300 pomieściło się wychowańców (w tej liczbie połowa żydów).

Od 2-go Kwietnia a rzeczywiście od poło-

wy Maja wprowadzono u nas w wykonanie nową reformę sądową. W gubernii oprócz honorowych mamy 32 etatowych sędziów pokoju. Na sędziów honorowych z liczby tutejszych właścicieli ziemskich wybrani zostali pp. Karp., Komar., Jaszczewski i Biegański.

Już to przyznać potrzeba, że wyższość nowej reformy sądowej widoczną jest na każdym kroku — dziś sprawy załatwiają się na poczekaniu prawie—gdy dawniej dziesiątkami lat się ciągnęły. W Kownie mamy 2-u sędziów. Niedawno rozstrzygali tu oni zabawną między dwu młodymi ludźmi sprawę o obrazę, do której powód dały także niedawno jak o tem wiecie zaprowadzone otwarte listy pocztowe. Szczegóły tej sprawy zostawiam do następnego kiedyś listu. *E. Gr.*

LISTY O WYCHOWANIU

PRZEZ

Henryka Wernica.

(Dokończenie).

Nauka dyjetetyki czyli higieny, albo nauka zachowania zdrowia, powinna być jednym z głównych przedmiotów wychowania, a radzilibyśmy ją zacząć o ile można najwcześniej aby wzrosła z umysłem samego wychowańca, i zastosowaną została do jego własnego życia. Życie, jakie dziś tak młodzież jak i dorośli prowadzą, odbiegło bardzo od natury. Klimat sztuczny w jakim żyjemy, przepędzając większą część naszego życia w cieplem mieszkaniu, uczynił ciało nasze wrażliwszem na zmiany temperatury. Wymagania społeczeństwa, a nawet i sama nauka również się przyczyniają do zniewieściałości, charakteryzującej dzisiejsze pokolenie. Od tych wpływów szkodliwych dla naszego zdrowia uwolnić się nie możemy, bobyśmy popadli w barbarzyństwo. Wynaleść więc musimy taką zmianę w naszym sposobie życia, któraby równoważyła szkodliwy wpływ cywilzacyi na nasze zdrowie. Jedynym na to środkiem jest poznanie praw, od których utrzymanie naszego zdrowia zawisło.

Ne cóż bowiem się zda, że wychowaniec będzie miał należyte wyobrażenie o zjawiskach natury po za nim leżącej, jeśli nie uwzględni praw tejże natury w własnem jego ciele działającej? Powiększenie nabytku wiadomości obowiązujących wychowańca, szkodliwie oddziaływa na jego zdrowie. Dla utrzymania równowagi konieczną jest rzeczą żeby to zdrowie stało się przedmiotem jego szczególnej pieczołowitości, żeby wdrożyć w jego umysł przekonanie, że to jest najszacowniejszy skarb człowieka. Zwyczajnie bowiem ludzie lekceważą to, z czem na świat przybywają, zdaje im się, że to należy do ich nierozdzielnych własności, i dopiero innego są zdania, gdy te niby nierozdzielne własnosci ich odbiegają. Niech więc wychowaniec pod przewodnictwem wychowawcy zastosuje naukę dietetyki do własnego życia, niech się przekona że przeładowanie jedynie żołądka, jest przyczyną jego ociężałości, bólu głowy, ospałości umysłowej, niech się dowie, że zaziębienie może sprowadzić inne słabości, że zbyteczne siedzenie nad jednym przedmiotem nuży siły umysłu. Jednem słowem że jego siły fizyczne jak i umysłowe podlegają ogólnym prawom, których przekroczenie szkodę tylko przynosi, z drugiej strony, że rozumna wola ludzka oddziaływać powinny na ciało. I także niech się przyzwyczai do wstrzemięźliwości; gdy czuje że się dosyć nakarmił, niech się nie dotknie choćby najbardziej nęcących łakoci—gdy spał zwyczajną liczbę godzin, niechaj ochoczo z łoża powstaje, nie nabywając szkodliwego i brzydkiego przyzwyczajenia, do leżenia w łóżku z otwartemi oczyma. Powinnibyśmy tu jeszcze kilka słów powiedzieć o ubiorze wychowańca, czem najbardziej grzeszą zbyt troskliwe matki! opakowywują dziecię bezpotrzebnie wełniankami, a tym sposobem czynią jego ciało wrażliwem na działania klimatu. Ruch na świeżem powietrzu, bez względu na pogodę, zabawy odpowiednie w ogrodzie dostatecznie zahartują dziecię, a niebędzie potrzeba żadnych heroicznych środków. Że i w tym kierunku grzeszyć można, mieliśmy przykład, na jednej z arcy-szanownych kobiet, dbających o siłę tak cielesną jak i o dobro duchowe swojego synka. Zacna ta matrona, chcąc Florcia swojego bardzo zahartować, kazała go kąpać w stawie aż do zbyt spóźnionej pory.

Stary sługa opowiadał nam, iż chcąc troszeczkę cieplejszą kąpiel w stawie uczynić, wlewał parę kotłów gorącej wody (?!) w to miejsce gdzie dziecię kąpać się miało. Pomimo tego dziecię się mocno zaziębiło i umarło.

Oprócz dietetyki wprowadzonéj w życie, jednym z głównych środków utrzymania zdrowia powinna być jeszcze gimnastyka. Rozwój dzisiejszej potęgi Niemiec spowodowany został przez dwa urządzenia, t. j. szkołę ludową, i gimnastykę ludową. Gimnastyka jest środkiem higienicznym; hartuje bowiem ciało i równoważy szkodę sprawioną natężeniem mózgu. W Niemczech żaden nauczyciel ani nauczycielka nie otrzymują kwalifikacyi naukowej bez zdania egzaminu z gimnastyki, tak teoretycznej, jak praktycznéj. W każdém stołecznem miescie państwa niemieckiego znajduje się osobny instytut rządowy, w którym wykładaną bywa bezpłatnie gimnastyka dla osób poświęcających się stanowi nauczycielskiemu. Potrzeba gimnastyki weszła tam tak w życie, iż ludzie w najpóźniejszym wieku takową praktykują, a w Dreznie, mieście o połowę mniejszém od Warszawy, jest dziesięć zakładów gimnastycznych, w których zacząwszy od dzieci a kończąc na starcach, w rozmaitych porach dnia ćwiczenia bywają odbywane. Oprócz tego w każdém, choćby jak najmniejszém miasteczku, znajduje się tak nazwany *Turnverein*, którego członkowie trzy do czterech razy tygodniowo się gromadzą dla odbywania ćwiczeń. Pamiętajmy z drugiej strony, że Niemiec umie się liczyć z czasem, że zna doskonale wartość angielskiego przysłowia: *„time is money“* t. j. „czas to pieniądz“. Jeśli więc pomimo tego, nie wacha się tygodniowo do 6-u godzin poświęcać na ćwiczenia gimnastyczne, a nadto opłaca choćby nie wielką sumkę, to musi być przekonany, że ćwiczenia te są korzystne.

Rozwój dzisiejszej gimnastyki ułatwia jej praktykowanie bez różnicy pory roku; bo jedne ćwiczenia można odbywać pod otwartém niebem inne w pokoju. Ależ wpływ gimnastyki nie ogranicza się na samém ciele, przyzwyczaja ona umysł do panowania nad ciałem, a więc ma i znaczenie moralne, obyczajowe. Dzieci niemieckie od najmłodszych lat odbywają ewolucyje wojskowe, tworzą szeregi, kolumny, maszerują i wykonywają wszelkie ruchy i zwroty, wedle rozkazu. Przyzwyczajają się więc do posłuszeństwa, do jedności w działaniu. Każdy poczuwa obowiązek do ulegania woli wyższej, cóż więc dziwnego że tak wykształcone dzieci i młodzieńcy, inaczéj rozumieją swój obowiązek, i inne mają jego poczucie, niż wychowane pojedynczo. Jesteśmy tego zdania, że obowiązkowe wychowanie elementarne, gimastyka, i zastąpienie rozpalającej i odurzającej wódki mniej szkodliwém piwém, głównie postawiły niemców na stanowisku, na jakiém się dziś znajdują.

Badanie natury, poznanie jej sił i spożytkowanie na korzyść ludzkości każdéj jednostki, jest myślą przewodnią w dzisiejszych czasach, a kto w wychowaniu od niej się oddala, uczyni ze swego wychowańca człowieka, wieku XVI-go i XVII-go nie zaś dzisiejszego.

ROZMAITOŚCI.

W **Toruniu** nakładem i w tłomaczeniu *F. T. Rakowicza* wyszło dzieło *Saint-René Taillandier*'a p. n. *Serbija w XIX w.*, czyli *Dzieje wyzwolenia się Serbii z pod jarzma tureckiego*, str. 244, cena 1 talar. Przy tej sposobności nadmieniamy, że w zeszycie wrześniowym *Biblijoteki Warszawskiej* rozpoczął się druk rozprawy p. P.... mający przedstawić całokształt dziejów Serbii, w ogólnym naturalnie zarysie. Po ukończeniu tej pracy nie zaniedbamy zapoznać z nią czytelników naszych.

* * *

P. **Zdzisław Rutkowski**, warszawianin, rzeźbiarz kształcący się w akademii sztuk pięknych w Rzymie, otrzymał pierwszy złoty medal za pracę konkursową.

* * *

Józef Wieniawski ukończył niedawno kompozycyją większych rozmiarów p. t. „Wielki koncert na fortepian, z akompaniamentem orkiestry.

* * *

Jana Zacharjasiewicza powieść p. n. „Noc królewska“ przełożoną została na język czeski i drukuje się w zbiorze „Taniej biblijoteki ludu czesko-morawskiego.“

* * *

Józef Antoniewicz tłomaczy na język polski dzieło Darwina: „O zmienności zwierząt i roślin pod wpływem hodowli.“

Sprostowanie.

Prenumeratorowie *Opiekuna*, którzy przy nadsyłaniu dalszéj przedpłaty dołączą **kop. 15** (z Warszawy) lub **kop. 20** (z prowincyi) będą mieli odesłany pod wskazanym adresem **Kalendarz Domowy dla wsi i miasta** Jana Noskowskiego, kosztujący dla nieprenumeratorów **kop. 25** bez przesyłki.

W Nr. 44 *Opiekuna* w Rozmaitościach, w zdaniu: „Wydawnictwo i t. d. na czele którego stoi *hr. Raczyński* i t. d.“ zamiast „hr. Raczyński“ powinno być *„ksiądz Bażyński.“* A w dodatku z powieścią: „Szpieg Pruski“, w trzeciéj strofce hymnu niemieckiego w czwartym wierszu powinno być: *„Tyle jest w Niemczech bohaterskiéj krwi“*

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

☛ Patrz Dodatek